

# Wciąż walczę z potworem we mnie

**Gdy pytają, skąd ta blizna, mówię, że to po walce z potworem.**

**Dzieciaki z onkologii nie dociekają, co to za jeden. Doskonale wiedzą.**

ROZMOWA Z  
**MAGDALENĄ PLUTĄ**



**ALEKSANDRA LEWIŃSKA: Miałas 17 lat, gdy usłyszałaś: to rak. Pamiętasz swoją reakcję?**

**MAGDALENA PLUTA:** Zastygłam. W gabinecie nie odezwałam się ani słowem. A po wyjściu ze szpitala zapytałam rodziców: „zamówimy pizzę?”. **Glód? Nie wierzę.**

- Nie wiedziałam, co robić. Nie miałam pojęcia, jak rodzice zareagują, czy będą płakać, rozmawiać, czy milczeć. A ja chciałam, żeby było normalnie. Na przykład, żebyśmy razem zjedli pizzę. Do dziś pamiętam jej smak. Łzy przyszły później. Najpierw była złość.

**Wywołana przez myśl: dlaczego ja?**

- To też przyszło później. W pierwszym momencie byłam zła na lekarza. Endokrynolog powiedziała, że to nowotwór złośliwy tarczycy. A w drugim zdaniu: masz najlepsze go ze wszystkich raka. Bezczelna - pomyślałam. I w tym momencie przestałam rozumieć, co do mnie mówią, co się dzieje. Mam w planach maturę, studia. Słyszę - rak, myślałam - ból, cierpienie, strach, w konsekwencji nawet śmierć. Przed oczami staje mi babcia, która dwa lata wcześniej umierała na nowotwór. A ktoś mi każe się cieszyć, że rak jest „najlepszy”. To może fajnie, że go mam? Przestały do mnie docierać jakiegokolwiek informacje. Dopiero, gdy do domu przyjechała pizza, polecały mi pierwsze łyżki.

**Teraz będziesz badać, jak na diagnozę reagują nastolatki leczone w bydgoskim szpitalu.**

- Jakie sensory i znaczenia nadają chorobie.

**Sprawdzasz, czy cierpienie uszlachetnia?**

- Nie muszę. Wiem, że nie uszlachetnia! Nieprawda. Ale można nadać chorobie sens, albo go odnaleźć z czasem.

**Tobie łatwo mówić. Z rakiem wygrałaś.**

- To nie tak! Ja nie chorowałam na raka, ja choruję od dziesięciu lat na niego. Nowotwór w każdej chwili może wrócić. W przypadku tarczycy nie ma granicy pięciu, czy dziesięciu lat, po których można powiedzieć, że już jest wszystko OK.

**To dlaczego endokrynolog mówi o nim „najlepszy”?**

- Bo, choć nie jest podatny na chemię, da się go zwalczać radiojodem,



**Szybko przekonałam się, że chcę pracować z chorymi dziećmi. Wiele miesięcy przepracowałam już w ramach praktyk na onkologii dziecięcej w Juraszu - mówi Magdalena Pluta**

czyli terapią polegającą na podaniu tabletki z izotopem jodu. A ta jest dużo łagodniejsza niż chemia. Po wzięciu tabletki trzeba być w odosobnieniu przez czas, w którym się promieniuje. W trakcie może trochę bolewać gardło. Omijają mnie wymioty, zawroty głowy, nie tracę włosów. A leczenie jest skuteczne. Na tym polega ta „lepsza jakość” raka tarczycy. Po kilku latach przyznałam rację lekarce: to rzeczywiście „rak najlepszy z możliwych”.

**Byłaś chorowitym dzieckiem?**

- Zupełnie nie. Wszystkie wyniki miałam w normie, nic nie wskazywało, że coś jest nie tak. Miewałam czasem infekcje gardła, anginy. Leczyłam standardowo i przynosiło to efekty. Kiedyś w autobusie, wracając ze szkoły, usłyszałam od koleżanki, że mam spuchniętą szyję po jednej stronie. W domu wyczułam guzka. Pediatria skierowała mnie do laryngologa. On wprost nic nie powiedział, ale zlecił biopsję. To wywołało we mnie niepokój, biopsja kojarzyła mi się dość jednoznacznie.

Gdy przyszedł wynik, dostałam skierowanie do Centrum Onkologii do Gliwic.

**Na operację.**

- Okazało się, że mam przerzuty na węzły chłonne. Bardzo źle zniosłam operację. Gdy po zabiegu wróciłam na oddział krzyczałam, że chcę umrzeć. Nie miałam sił, wymiotowałam, bolało. Bardzo się bałam skutków ubocznych. W szpitalu poznałam ludzi, którym podczas usuwania tarczycy naruszono struny głosowe i nie mogli mówić. A ja w tym czasie wiązałam swoją przyszłość ze śpiewaniem. Przejmowałam się wtedy takimi sprawami, jak blizna na szyi. Dziś wiem, że to drobnostka. Traktuję bliznę jak pewnego rodzaju trofeum.

**???**

- Gdy pytają mnie o nią dzieciaki z onkologii mówię z dumą: walczę z potworem. Nie dopytują, co to za stwór. Myślę, że wiedzą.

**Rozmawiałaś z rodzicami o chorobie?**

- Tak szczerze zaczęłam rozmawiać o raku dopiero kilka lat po diagnozie. Tata od początku zamykał się w sobie, uciekał od tematu, ucinając: będzie dobrze. Pewnie się bał. Mama bała się na pewno, czułam to. Od po-

czątku starałam się rodziców uspokoić. Szłam na biopsję i tłumaczyłam, że to tylko profilaktyka. Wiedziałam, że to ja choruję, ale czułam, że muszę ich chronić. Nie chciałam też nadmierne zainteresowania. Wybierałam sobie osoby, ale spoza domu, którym mówiłam o najtrudniejszych myślach, lęku, zagubieniu. Na co dzień chciałam, by było po prostu normalnie. Stąd ta pizza po usłyszeniu diagnozy.

**“Złościło mnie, gdy ktoś zaklinał: „będzie dobrze”. Albo przychodził z litością: „ojejku, jak ty masz źle, jak ty to wytrzymujesz”**

**Wtedy umiałaś znaleźć w tym jakiś sens?**

- 17-latką pyta: dlaczego ja? Nie potrafiłam tego zrozumieć. Ale, może to głupio zabrzmiało... poczułam się w jakiś sposób wyjątkowa. Że spotkało mnie coś trudnego, z czym muszę się zmierzyć, jakieś wyzwanie, któremu da się sprostać. Widziałam, że część ludzi mnie w jakiś sposób podziwiała: tyle przeszłaś, jesteś taka dzielna - słyszałam nieraz. W szpitalu poznałam mnóstwo cudownych ludzi, którzy mierzyli się z tą samą chorobą, co ja. Starszych, o 20, 30 lat, z którymi znalazłam wspólny język.

**Oni mówili o sensie?**

- Niektórzy próbowali. A ja reagowałam różnie. Raz, że może rzeczywiście nie dzieje się bez przy-

czyny i poszukiwałam w tym jakiś plan na siebie, że może to będzie jakaś moja droga w przyszłości. Byłam wtedy religijną osobą, to sprzyjało takiemu myśleniu.

Złościło mnie, gdy ktoś zaklinał: „będzie dobrze”. Albo z litością: „ojejku, jak ty masz źle, jak ty to wytrzymujesz”, albo odwrotnie, traktował mnie jakby nic się nie działo, jakby choroby nie było. Tak było w mojej klasie w liceum. Moje kontakty z rówieśnikami osłabiły się, bo nie wiedzieli, jak się ze mną obchodzić. A pedagodzy próbowali wspierać, ale tylko mnie. Nie pracowali z całą klasą.

**Ukrywałaś chorobę przed kolegami?**

- Sama o niej nie wspominałam. Jednak gdy ktoś zapytał, mówiłam o chorobie swobodnie. Na studiach, gdy przyszła wznowa i miałam jechać na drugie leczenie, jedna z koleżanek śmiała się, że unikam zaliczenia. Gdy powiedziałam, że choruję, spytała: na katar? „Nie, na raka” - odpowiedziałam. Nie chciałam jej zbić z tropu, spontanicznie odpowiedziałam, jak jest. Zatkęła ją. Rak przeraża, po mnie nie było widać, że coś jest nie tak.

**Wznowa też przyszła nagle.**

- Nic na to nie wskazywało. Po pierwszej operacji i terapii radiojodem chciałam wierzyć, że wyzdrowiałam: wracam do żywych, teraz trzeba zacząć żyć, miałam przeświadczenie, żeby teraz robić to na sto procent. Nie marnować żadnego dnia, starać się żyć tak, jakby każdy miał być ostatnim.

**Wyświadczenie strasznie.**

- Ale co innego mówić, co innego czuć. Wtedy to czułam. Ale nie chciałam doświadczać, podróżować, czy spełniać wszystkich marzeń w jeden rok. Chciałam po prostu dobrze żyć, robić swoje każdego dnia, byłam przed maturą, chciałam ją dobrze zdać, iść na fajne studia, wyrwać się z rodzinnego miasta.

Niestety, przed egzaminami musiałam odstawić hormony, bo przygotowywałam się do ważnego badania. Na to nałożył się stres przed maturą. I ostatecznie zdałam ją dużo słabiej, niż planowałam.

**I wyładowałaś na UKW.**

- (śmiech). Dziś nie żałuję, dobrze wyszło. Szybko przekonałam się, że chcę pracować z chorymi dziećmi. Wiele miesięcy przepracowałam

już w ramach praktyk na onkologii dziecięcej w Juraszu. Moja opiekunka, Jolanta Sękowska, która pracuje w szkole dla przewlekle chorych dzieci od lat, już pierwszego dnia powiedziała mi: jeżeli naprawdę chcę pracować z takimi dziećmi, muszę pamiętać, że tu nie będzie efektów w postaci ocen czy zdanych egzaminów. Że moim zadaniem jest wywołanie na twarzy dziecka uśmiechu, danie mu poczucia bezpieczeństwa. Zdarzały się dzieci, które nie chciały do domu wracać, bo tak im dobrze było w szpitalnej świetlicy. Duża satysfakcja.

**Ale też dużo trudów.**

- Najtrudniejsze było rozstanie z Martą. Nastolatka, miała raka kości. Przechodziła chemię, początkowo była bardzo zamknięta, ale przede mną się otworzyła. Opowiadała o swoich obawach. Czułam, że po tym, co sama przeszłam, mogę jej pomóc. W ogóle, gdy dzieci dowiadują się, że też chorowała, są bardziej ufne. Rozumiem, dlaczego nie mówią niektórych rzeczy rodzicom, wiem, co przeżywają. Cieszyłam się, że Marta mi ufa, że dzieli się nawet najtrudniejszymi doświadczeniami. Trudno było patrzeć, jak cierpi. Nieraz czułam złość, niesprawiedliwość, żal, że choroby nie udaje się pokonać.

**Z tego powodu wielu rezygnuje z pracy z onkologicznymi dziećmi.**

- Bo trudno o silniejsze emocje. Ale staram się skupiać na tym, na co mam wpływ. Marta nie umarła na raka, ale na sepse. Nie było mnie przy niej. Byłam wtedy na radiojodzie i miałam kryzys, czy rzeczywiście jest sens, bym na onkologii dziecięcej pracowała, czy się nadaję. Wróciłam w grudniu, na oddziałową wigilię. Marty już nie było. Czekal na mnie prezent, który wybrała niedługo przed swoją śmiercią. Nie mam żadnego cenniejszego przedmiotu. I od tej pory już nie zadaję pytań: czy mogę się tu na coś przydać, czy to ma sens. Moja choroba dała mi doświadczenia, które sprawiły, że potrafię pomóc innym. To zresztą obopólna korzyść: ja komuś pomagam, dzięki mnie ktoś zapomina na chwilę o swojej chorobie, ale jednocześnie to też terapia dla mnie. Czuję się potrzebna, dowartościowana, rozumiana przez te dzieciaki. Chcę dać im to, czego ja potrzebowałam.

**Czyli?**

- Zrozumienie, ale nie litość, współczucie, głaskanie po głowie i złote rady. Obecność, ciepło, prawdę o tym, co się z nimi dzieje.

**By raka łatwiej było ośwoić.**

- Co za bzdura! Raka nie da się ośwoić. To część mnie, ale żaden z niego przyjaciel. Raka można co najwyżej okiełznać i pokonać. ●

ROZMAWIAŁA **ALEKSANDRA LEWIŃSKA**

**\*Magdalena Pluta** - doktorantka na Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego. Współredaktorka publikacji „Wspólne obszary tanatopedagogiki i pedagogiki międzykulturowej. Chorzy, cierpiący i umierający jako Inni i Obcy”. Píše pracę o nadawaniu sensów i znaczeń chorobie. Sama od dziesięciu lat zmaga się z rakiem tarczycy. Aktywnie wspiera dzieci leczone się onkologicznie w szpitalu im. Jurasza.